

DZIENNIK

Wiśniczowski.

LWÓW 16 MARCA 1841.

Ner. 6.

ROK DRUGI.

Wychodzi 1 i 16 każdego miesiąca, do każdego numeru dotłączone są dwie ryciny. Prenumerata wynosi we Lwowie półrocznie 5 ztr. 15 kr., rocznie 10 ztr.; bez rycin półrocznie 2 ztr. 30 kr., rocznie 5 ztr. Dla tych którzy pocztą ten dziennik odbierają dolicza się do powyższych cen za przesyłkę pocztową od jednego egzemplarza półrocznie 48 kr., rocznie 1 ztr. 36 kr. srebr. Prenumerować można w kantorze Tomasza Kulczyckiego pod liczbą 301 w miesiące, tudzież w krajowych i zagranicznych urzędach pocztowych.

M O D Y.

Straje damskie. Dawniej, to jest przed pięcią laty, bo taki przeciąg czasu jest dla mody wiekiem, fryzowano wszelkie włosy czarne, ciemne lub złociste na jeden sposób i trzeba było neipospolitej śmiałości aby się pokazać w teatrze z plecionką lub prostą przepaską na głowie. Byłoby to narazić się oczywiście na nieprzyjemność ze strony widzów. Dziś wszystko się zmieniło. Młodzi fryzjerowie przybyli z młodemi pomysłami, a my widzimy przepaski w najrozmaitszej formie, pukle w najrozmaitszy sposób: angielski, chiński, w sposobie bert, lub też plecionki umocnione grzebieniem. Prócz tego stosownie do figury lub stanu dają się widzieć kwiaty, przepaski wysadzone kamieniami, muszle lub piękne weneckie szpilki uzupełniające ubranie włosów, i dodające każdej twarzy to, czem się jej wdzięk wrodzony wydatniej pokaże.

Niepodległość uzyskana w przedmiotach mody jest wielkim krokiem który każda z kobiet łatwo ocenić potrafi. Przypominam sobie z jakimto tonem stanowczym mówiło w pewnym magazynie, będzie temu lat kilka: pani! nie noszą teraz z innych materij tylko w same wielkie wzory, drobne wyszły już z mody zupełnie. A na te słowa musiała pani słuszną lub też maciopa, otyłą lub szczupłą wkładać na na siebie suknie w pasy grube jak ręka, lub też w gałęzie których kwiat mógłby zasłonić twarz całą.

Nasze modniarki pojęły te niedogodności i dzięki ich usiłowaniom każda pani może się dziś stroić według własnego gustu. Ta-

każ sama rozmaitość panuje i co do kroju sukien. Mimo precudnych gorsetów *Poussa* noszą też staniki w kształcie zbroi rycerskiej lub zmarszczone w tysiąc fałdów stosownie jak komu wczem do twarzy. Spodniczki garnirują wolantami, falbanami lub też w zygzaki, wreszcie tak jak się komu podoba. Rękawy są szerokie lub też obcisłe, ponieważ moda brata się z temi formami jakie wskazała przyroda. Zgoła moda pozwala i przystaje na wszystko.

Musimy tylko dodać że im więcej pobłazniająca jest moda tym bardziej trzeba się zastosować do jej przepisów. Chociażby nie było zmiany z jednego roku na drugi prócz lekkich tylko odcieni, prawdziwa eleganka zaraz je sobie zauważa. Nie masz bowiem wątpliwości że suknia z wieku XVII może być modną dzisiaj, lecz przeszłoroczna suknia nigdy nią dzisiaj nie będzie. Wtem sęk, który każda kobieta z gustem ominąć potrafi.

Rycina przedstawia kapelusze axamitny z pracowni p. *Barenne*, pióra od *Fauconniera*, kołnierzyk z korunek indyjskich, suknię roboty p. *Kamilli*, i strój dziecięcy.

Straje męskie. Niezaszło tu znacznej odmiany; drobne łatwo obaczyć można na rycinie. Przedstawia ona paletot.

Wspomnienia Semenowych powieści.

Będzie temu pono lat dwanaście, jak po raz pierwszy na Ukrainie byłem. Każdy

kraj ma coś osobliwego, a gdzie są stępy, dobre konie i charty, tam każdy człowiek, myśliwy czy nie myśliwy, poluje kiedy drudzy polują: bo na Rusi jest klasyczną ziemią step, pieścідłem chart, kochaniem koni, a družbą kozak.

Kiedy człowiek młody, zaprzyjaźnia się łatwo; ja pokochałem podówczas szczerze pana Adama, człowieka prawdziwie ukraińskiego kroju; a lubo znajomość nasza dawała się dopiero od miesiąca, zdało nam się, żebyśmy już nie potrafili żyć dalej bez siebie.

Był to człowiek poczeiwy i prosty; wielka fortuna czekała na niego, miewał zawsze szalone konie i szalone zdrowie, najlepsze charty, najlepsze strzelby, najzawawszych kozaków i co zatem idzie... szczuł i polował z gończemi, chętniej odwiedzał dalekich niż bliskich sąsiadów, nie opuścił nigdy kijowskich kontraktów, ani berdyczowskiego jarmarku, grał nie źle na fortepianie i spiewał jak teorbanista ukraińskie dymy. Gościnnie i ochoczy do wszystkiego, a że był, jak to mówią, pan z panów, więc mówił z matką i z siostrami po francusku, z przyjaciółmi po polsku, a z kozakami po rusku. Chart faworyt spał na jego łóżku, a na siwku tureczynku wjechał czasem nawet i do salonu matki przez drzwi ogrodowe. Tabuńskie konie ujeżdżał sam, w Berdyczowie nie grał w karty, ale biegał z Tatarami na wyścigi i wygrywał, skakał przez kłody i wjeżdżał czasem nawet na rusztowania mularskie, a jak się rozszalał, sadił przez czumackie maże. O zakład wystrzeliwał razporaz asy z pistoletu i kule rozcinał o ostrze pałasza. Słowem był to najosobliwszy i najpiękniejszy dzik, jakiego tylko widzieć można na stepie i w salonie, człowiek o którym na Ukrainie mówiły panie: *il est nul part deplacé!* a panowie: *oto chwał!*

Pan Adam byłby w stanie, kiedy się rozochocił, wsadzić na konia całe towarzystwo filologów greckich i wyprawić z chartami na stępy; nie dziw więc, że i mnie namówił na daleką wyprawę, ku Zaporozu, aż na step dniewowy, gdzie panowie Małachowscy dla całej Ukrainy wolne polowanie wyprawić zamyślali.

Był to jesienią; w czternaście koni i sześć smyczy chartów wyruszyliśmy po dobrym śniadaniu drogą do Czchrynia, za nami szło kilka ukraińskich wozów z żywnością, z kucharzem, z łomokami i z osypką dla

psów, a po drodze szczuliśmy z lekka, co się pomknęło, żeby nie zgonić chartów a przypomnieć im takroczne pole.

Kiedyśmy się już na gołym stepie ujrzeli, zaspiewali kozacy pieśń Padury i wówczas dopiero spostrzegłem kozaka, któremu nigdy u pana Adama we dworze na służbie nie widział. Siwy jak gołąb, czerwony jak rydz, dwa szramy na twarzy, a pod nim kałmuk srokaty. Był to Semen Dziubun, ataman, który już od lat wielu służby we dworze nie robił i spokojnie w dalekim futorze odemnie mieszkał, a tylko do wielkiej okazji, gdzie się potrzeba było popisać, kozakom pana Adama przewodził i dla powagi atamanit drużynie.

Do panów Małachowskich było trzy dni jazdy, a żeśmy konno i wolno jechali, przewlokła się nasza podróż jeszcze dłużej.

Na pierwszy nocleg zagościliśmy do pana Chłudy, który miał trzy piękne córki. Pan Adam dokazywał po swojemu. Czesnikowstwo byli nam radzi a panny były więcej niż zadowolone z naszego przybycia. Jedna z nich miała się do pana Adama, a on miał się do wszystkich trzech. Miło zeszedł nam wieczór jesienny: tabor nasz rozłożył się w wobszernym dziedzińcu, a kiedy nas pan cześnik na dobranoc do naszego pokoju odprowadził, były już łóżka posłane, chart faworyt Togracz leżał na łóżku Adama, na kominie palił się ogień. Stary Semen drzymał siedząc na ławce przy ogniu, a kozak Dubyna, który nam usługiwał, bawił się z ulubionym swoim chartem Sokotem. Kiedyśmy legli a Dubyna podał lulki, zawołał pan Adam na starego Semena, który ciągle jeszcze drzymał: *Czuw bałku Semene!* Powiedzno nam jaką bajkę; bo do delicij żywota pana Adama należały także wieczorem pieśni teorbanisty, lub kozackie powieści.

Semen mruknął i nie mówił nic.

— Osołowiłeś stary! a jakie pole na jutro?

— *Czort znaje!* rzekł Semen, jakiś wiatr się zerwał, może szaruga pójdzie...

— *Czoho zażuryrsia Semene?* Dubyna! dostań wódki z puzderka i wypij do Semena, *Szczob żurby ne znaty a robaka sotroit!* —

Semen tyknął i zadzwonił kieliszkiem po zębach, pan Adam zrozumiał i kazał mu dać drugi.

— A teraz powiesz nam bajkę? Semenie!

— Ej, stary już i bajek pozapominał; *ate koty wam uże zawertenyto*, to powiem i

bajkę, ta nie bajkę, ale prawdę... Kiedym jeszcze był młodym, wziął mię do dworu xiążę Zastawski na kozaka, a atamanem u niego był Pokutyło z Bohusławia; ej tamto podnim krepka była drużyna, a w xiążęcym dworze było codzień wesoło, jakby na weselu. Panowie jechali ze świata i gościli w Zaslaviu. Xiążę lubił nas, a xiężna była dobra jak dziecko. Jamto bywało z kagańcem jeździł przed karetą; miałem też łaskę u niej, ot tak jak u pana i kiedy kogo wyprosić od kary, to do niej szedł człowiek śmiało, jak do cerkwi.

Raz stało nas sześciu kozaków przed bramą w Zaslaviu na służbie, w pałacu były goście i miało się już z południa, aż tu przychodzi jakiś wołokita, nibyto z wasze-cia a piechotą, nibyto pokornie a rwie się do xiężny, nibyto polndzku gada a coś mu źle z oczu patrzy; wduch! wduch prowadź go na pokoje!

Kuda kusomu do zajacia! gdzie wołokicie do xiężny i na pokoje! ale on napierał i napierał: wduch prowadź mię do xiężny!

Co było robić? poszedł ja do atamana, ataman do marszałka; wyszedł marszałek, coś popytał, pogadał z cicha: szwar, szwar, szwar, szwar i wziął go na pokoje; ale niehawem wyszło wszystko na wierzech.

Marszałek zbiegł na dół i kazał co żywiej zaprzęgać i wyprawił ogrodników z rydlami i motykami, a mularzy z czaganami za miasto. Xiężna wyszła z państwem, nam kazano ruszyć przodem. Państwo siadło do karet i jedziemy za miasto. Ja się obzieraam na grobli koło młyna, aż tu za pierwszą karetą gdzie xiężna jechała, trzyma wołokitę dwóch hajduków.

Kiedyśmy za miasto wyjechali na pole, orze chłop, a w pługu miał trzy siwe woły a czwarty był boczysty.

Kareta xiężny stanęła.

—Semen! krzyknął hajduk na mnie. Poskokczyłem ku karecie, a xiężna powiada:

— Mój Semen! zawołajno na pole, człowieka co tam orze niech stanie i niech poczeka na nas; tylko prędko! —

Jak się nie kopnę przez rów. *Stij ba'ku!* Koń się osadził i pług stanął.

Państwo wysiadło tymczasem i w miejscu tem gdzie pług stanął kazała xiężna kopać, nam to dziwne dziwo było, co to wszystko znaczy. Powozy zjechały się na pole, ludzie jak kopią tak kopią, a wołokitę trzymają hajduki.

Jest! krzyknął mularz, jest jakieś sklepienie! — a po człowieku aż mróz przeszedł; ja patrzę na wołokitę a jemu się odmieniło i jedno czarne a jedno zielone oko! ba i brew jakoś pobieleła, a siarkę słysząc w powietrzu.

Mur dudnił pod czaganem, ale mur był stary i twardy; przywołano więcej ludzi, jak biją tak biją do sklepu i poruszyli jeden niby kamień. Aż tu jak zadudni pod nim, jak się zerwie z pod niego wicher, jak stanie nami kręcić: czapki leca, burki zrywa, a nad nami chmara gawronów, kawek i kruków, aż pociemniało na niebie! Coś jęczy, coś się prosi i zawodzi w powietrzu i pod ziemią. Strach uderzył na wszystkich, mularze poczęli uciekać. Xiężna woła: nawracaj! — żegnając się — nie chcę ja nie chcę tych skarbów. — Jaki taki wnogi! Spojrzę na miasto, aż tu się pali Zastaw na wszystkie cztery rogi! Gdzie wołokita? a hajdukom, co go trzymali, tylko poczerniały ręce. Wołokita rozciekł się mazią, chłop z wołmi zniknął, a miasto gore...

Jako się potem rozgadali ludzie, otoż to wyszło na wierzech: że zle zaraz mówiło o tem xiężnie, że będzie chłop czterma wołmi orał za miastem i powiadało, jakie woły będą i że potrzeba kopać gdzie chłop z pługiem stanie, jak państwo wyjedzie za miasto. Otoż z tąd była mu wiara, bo chłop miał takież woły, jak ono mówiło; a skarby miały być tam wielkie i widzieli nieraz ludzie jak się tam paliły pieniądze. Powiadało ono że jest tam taki złoty łańcuch, że nim cała Zastawszczyznę opasze; ale ostrzegało także, żeby się ludzie nie strachali różnego dziwu, co się pokazywać będzie, bo jak skarbu nie dobęda, to ich spotka nieszczęście; ot i rodzinę xiążąt Zastawskich spotkało nieszczęście.... dodał Semen po chwili i zadumał się.

Czy słyszysz Adamie? zapytałem, bo ogień był tymczasem przygaśł nieco w kominie.

Chart jego zerwał się a pan Adam chrząknął tylko, bo spał już od dawna....

Wincenty Pol.

Młodość i doświadczenie.

Jak piękny świat ten! dziewczyna wyrzekła
Pęk świeżych kwiatów w białej niosąc dłoni;
Miała ich wiele w uplotach, na skroni,
I spiesźnie z niemi z ogródka uciekła.

By uśpiał młki złożyła te dary:
Ach mamę, świat ten, ja kocham bez miary!
To słońce jasne, te wieczorne cienie,
Wszędzie i zawsze ślicznie na tym świecie.
Nie prawdaż mamę? — Ach nie moje dziecko!
Ten świat nam tworzy i daje cierpienie. —

Cierpienie mamę? ależ przywiązanie
Co tak ma duszę przenika dla ciebie,
Przy twojem sercu ja jestem jak w niebie
A z twem uczuciem dla mnie co się stanie?
Bo choć mi ludzie co złego wywróżą,
Ty mię ukryjesz, zastaniesz przed burzą
I złe przeminie, a te uwielbienie
Pozwolisz mamę nazwać szczęściem przecie?
— Święte uczucie! jednak moje dziecko
Z niego się później urodzi cierpienie. —
A miłość mamę? wszak miłość coś warta,
Mówiła kryjąc zapłnione lica,
Miłość co serce unosi, zachwyca,
Jak bóg wieczysta, jak sięga otwarta
Bez fałszu, zdrady, i podłej rachuby.
— Co młodość truje, przewodzi do zguby,
Rumieniec gasi, spokojność zabiera
Niewyczerpane źródło też otwiera?...
Świat ten potępia każde uniesienie,
Zgubnym oddechem truje jego kwiecie,
Wierz moim słowom, ach wierz moje dziecko:
Wielkie uczucie, to wielkie cierpienie!...

Ta łza, co teraz w twojem oku świeci,
Do ważnych w życiu gotuje cię zdarzeń,
Człowiek jak gwiazda z krańcy swych marzeń
Na brudną ziemię szybkim pędem zleci;
A po niej błądzić gdy ci się utrudzi,
Zdjęta litością dla świata i ludzi
Dusza twa w nieba wzlatując sklepienie,
Jeszcze wykrzyknie: życie, to cierpienie!

— a.

Narodowy strój i taniec styryjski.

Rumiany brzask zachodu odbijał się w hurtach Muru i ozłacał wały i zwałiska starego zamku *Rabenstein*. Włościanie zehodzili z gór z motykami na plecach; po górach, zaledwie na pare caliów ziemią pokrytych, po urwiskach, gdzie zaledwie koza wydrapać się i utrzymać może, widać było mozolne korzonki, świeżo starannie uprawne. Miły wieczór majowym oddychał techniem, wonią lasów i roślin wiosną do życia zbudzonych, zwolna zmrok zapadł, tylko Murę slychać było szumiącą w ścieśnionem łożysku, i ona była tu nicią Ariadny, która nas wyprowadzała z tego skalistego błędnika.

Nocleg przypadł nam w *Peggau*. Głośno było, wesoło w gospodzie. Dźwięk cytry, śpiewki i krzyki sprowadziły nas na dół do izby, i postanowiliśmy pomimo protestowań towarzysza homeopaty, wieczerać

obok w alkierzu, radzi sposobności uchwycenia choć kilku może rysów charakteru i zwyczajów narodowych. Nieprzerwaliśmy naszą obecnością zabawy i wesołości powszechnej, i owszem ochota zdawała się wzrastać w gronie biesiadników, gdyśmy uwagę na nią zwróciwszy widoczniej naszą ciekawość poznawać dawali. Cytra, ten narodowy styryjski instrument, zajęczała radośnie, i tu owdzie głos wesoło do niej się odezwał. Cytrnik, nie młody już ale piękny mężczyzna, wydawał mi się potomkiem owych śpiewaków zalotnictwa rycerskiego, o których pieśni i dzieje Szwabii tyle powiadać umieją. I on, ze swoją cytrą na grzbiecie, ode wsi do wsi wędrował, i do melodii narodowych swoje nucił piosnki. Jego gra mistrzowska i teraz jedynym była powodem tego ruchu, tej wesołości w gospodzie, i wnet pociągami swoim zebrała grono miłośników tańca i hulanki. Począł, żwawy, dorodny chłopak, który właśnie z nami nazajutrz dalej miał jechać, i już się o tem dowiedział, był za wezwaniem naszym, główną podniętą tych tańców i śpiewek. Myśmy kilkoma halbami krajowego wina niezaniebali z naszej strony rzetelnie się do tej uciechy przyczynić. W najprzyjemniejszej chwili tego wieczora mieliśmy sposobność przypatrzeć się dokładniej styryjskim narodowym strojom, temu tańcowi po całym świecie synnemu, i charakterowi serdecznej rozpusty, który jest styryjskiemu ludowi właściwy.

Ubiór styryjskiego chłopca, lubo dosyć piękny i malowniczy, niema piętna owej prostoty i lekkości, jakim się zwykle góral wszystkich krajów od mieszkańca płaszczyzny odznacza. Krótkie z czarnej skóry spodnie idą niżej kolan o tyle, iż wraz wiążą pod kolanami północzochy, zwykle zielone. Krótkie również buciki, około kostek mocno rzemieniami obciśnięte, sięgają tylko do łytek, zupełnie dając nodze dawny kształt rycerski; i chłop styryjski musi ten swój bucik godłem rycerstwa uważać, gdyż w wojnach zaburzeń chłopskich mieli Styryjczycy ten bucik znakiem polowym na chorągwiach swoich. Około szyi, lekko owinięta, spada niedbałym węzłem, kolorowa chustka. Miejsce kamizelki zastępuje kawał walezyi, z tytu tasmami umocowany, od którego odbijają szerokie kolorowe szelki. Wierzchnią odzież stanowi kurtka błyszczącymi guzami gęsto obłożona, lub też długi, zielony kaftan, a raczej kapota,

którą wszakże szpeci stan sznurkami tak wysoko oznaczony, że aż do łopatek sięga. Głowę pokrywa zielony, niski kapelusz z szerokimi kryszami; zdobią go kolorowe, długo rozpuszczone wstęgi, lub szychowe borty. Junacy, strzelcy, w powszechności młodzi górale lubią przystrajać kapelusze piórami cietrzewiów, lub innego rzadkiego ptactwa, a pusze z sierści dzikiej kozy przypięte, już znamienitą są ozdobą alpejskiego myśliwca. Liczba i porządek piór w kapeluszu zatkniętych odnacza nawet stopień odwagi i siły; kto trzema ku przodowi krzyżowo na kapeluszu upiętymi piórami na godach lub w gospodzie się zjawi, to pewnie śmiałek, do walki wzywający.

Kobiety noszą obuwie podobne; tylko ozdobniej zrobione, równie jak i pończochy. Spodnice gęsto fałdowane, różnego koloru; ale sposób ich noszenia odbiera i najsmuklejszej kibici i najpiękniejszym kształtom całą ich powabność. Idąc z przodu pod samą pierś, z tyłu na łopatki, niedaje żadnego wcięcia i worowato do kolan tylko sięga, łytki zostawiając wolne. Ramiona i pierś okrywa obcisły gorset z czarnego zwykłe mamszestru, kolorową u przodu ujęty chusteczką. W lecie lub przy tańcu gorseciki są bez rękawów, a natenczas biała, do łokci idąca, bufowana i wyszywana koszula gra główną rolę w tym stroju. Kilkanaście sznurków pereł, ale nieorientalnych, z przodu i z tyłu ściśło w sprzączki ujętych, zdobi szyję. Wielki, biały, sfomniany, czerwono podbity kapelusz, jak grzyb tuli się ku tyłowi głowy, dając z przodu widzieć gładko oczesany włos, z którego tylnych splotów spadają na plecy różnobarwe wstęgi. Niczego więcej nie brak temu strojowi, ażeby piękną dziewczę prawdziwie zachwycającą uczynił, tylko aby stanik odpowiedział tej miarze kształtu ludzkiego, jaką mu natura dała. W tym składzie zaś, jak jest, i najurodziwsza dziewczę szpetną się wydać musi. Uważałem wszakże, iż te z pomiędzy dziewcząt, które same swoją urodę poznały, — a któraż jej niepczna kobieta? dobrze to czują i wiedzą, ile odmiana w składzie stroju przyczynia się do podniesienia powabów postaci i przyrodzonych kształtów. Która tylko urodziwsza, wyswobodzając się śmiało z niekorzystnego dla jej wdzięków zwyczaju, już do naturalnej miary zbliża swój gorsecik. Wtenczas to daje się widzieć cała powabność tego malowniczego stroju.

Zucha styrijskiego, z trzema piórami na kapeluszu, i taką dziewczę, widzieć w tańcu, przenioślibym nad wszystkie *pas de deux*, gdzie tylko zręczność mozolnie wprawionej nogi i wyuczona śmiałość skoków, podziwiać przychodzi. Ależbo trzeba sztajer widzieć woryginalne, aby mieć o nim prawdziwe wyobrażenie. Nietento sztajer, którego kapral od Benżur do umęczenia kręci z dziewczką z krakowskiego przedmieścia; nieteto skoki i podrygi, nie to kołowrotkowe suwanie nogami, tak tu zaledwie słuchające i do każdego obcego przyczepiające się tonu; tu jawi się on jak muzyczne drama, jak romans, jak poezja członków, przez którą uczucie serca, melodią rozmarzone, wyraża się z całą żywością chwilowej uciechy. Tu taniec nosi wszystkie jeszcze piętna swojego początku. Jest to ów dawny wieśniaczy taniec, słusznie *ländler* zwany, w którym każda para, pociągłem serca złączona, ma swoje własne, niezawiste działanie, w nieskończonym poruszeniu, w najrozmaitszej przemianie form i zwrotów, jakby bez żadnego prawa, wolno i swobodnie bujając. Dziewica, jak we wszystkim w Styrii, gra i tu główną rolę, i wykonywa ją z najnaturalniejszym wdziękiem. Te zwroty, te płasy, to puszczenie się i splotne łączenie, to oddalenie się i zbliżenie, to gubienie się i znajdowanie, i to wreszcie w cichem kołysaniu płynienie, opowiadają dosyć wymownie dzieje ich miłości. Sąto śmiałe zaloty, miłe zabiegi, wstydlivy opór, podroczna przekora i — poddające się pojednanie.

Sztajer ma także swoją właściwą, prawdziwie narodową melodię, ale ją także słyszeć trzeba na narodowym instrumencie. Kiedy Styrijczyk usłyszy słodko-jękiwy brzęk wprawna ręką wtrzęsące akordy poruszanej cytry, już nie jest panem siebie: oko mu się zaiskrzy ochotą, do narodowych dźwięków i piosenka w pogotowiu, skoczy, klasnie w rękę, urywczco zajadluje lub gwiździe, aż wuszech zadźwięczy — i już w uniesieniu cały.

Piosnki, które zwykle główną przyprawę, tych zabaw stanowią, mają za przedmiot miłość — nie owąto miłość, podsycaną czytaniem romansów, gubiącą się w marzeniach rozbijałej wyobraźności, karmiącą się ideałami, roskoszującą w uczuciach; ale miłość, że tak powiem, realną, którą prostota w zakresie swojego zmysłowego życia jedynie pojmuje, miłość, zażegnioną

wszczepionym do drugiej płci pociągami, którą żądze swoją tak zaspokajają i syci, jak głód tym czarnym chlebem, który codziennie pożywa. Taka miłość, jakież może podawać do spiewek przedmioty?.. Zmysłowa rozkosz, rozwiązałe dowcipy, przycinki na zalotność tej lub owej dziewczyny, tego lub owego chłopaka, przypominające miłość jakąś przygodę, lub uciészne jakie wydarzenie, oto osnowa ich piosnek przy tańcu. Narzeczę języka i urywkowość i w składzie, są to wszakże niemałe trudności do ich zrozumienia. Kto chce mieć dokładne o nich pojęcie, musi je nie w śpiewaniu, ale zwolna, słowo po słowie przepowiadane słyszeć.

Śpiew, taniec i zalotność, to jest żywioł górali styryjskich. Oni wiedzą do miłostek, a te znowu z tamtymi w najściślejszym są związku...

Po lewym brzegu Mury, przebywszy już już dnia poprzedniego przez most pod *Frohnleiten*, zbliżyliśmy się ku styryjskiej stolicy. Jak od *Bruck* rozpoczyna piękność tej doliny cudowne miejsce *Rehkogel*, ztąd tak nazwane, że sarna miała ukłknąć przed obrazem matki boskiej; tak ją tu zakończą drugie cudowne miejsce *Strassengel*, słynne odpustami i pielgrzymką nabożnego ludu.

Wjechaliśmy wreszcie w otwarte, żyźne okolice: 4go maja żyto stało w kwiecie, i naraz, przejeżdżając znowu na prawy brzeg Mury, zachwyciła oko nasze czarodziejska, rozległa dolina, pośrodku której rozwija się Styria stolica, to rozkoszne miasto, oktorem w pięknym kalamburze wyrzekli Francuzi: *C'est la ville des Graces, sur la rivière de l'amour.*

W. Chłędowski

Klejnoty.

I.

Muzyka i tańce trzęsły ścianami wiejskiego dworu, którego właściciel, pan M* hojnie podejmował przyjacielskie grono sąsiedztwa. Blask mnóstwa świateł emit blade promienie jasnej, letniej nocy wpadające przez okna do bawialnej sali, jakby się chciały rozlicznym przypatrzeć grupom

Seweryn L* tańczył z piękną mężatką. Oto właśnie skończyli taniec, Zofia siadła przy oknie, a Seweryn przy niej, i w odosobnieniu wszczęli rozmowę, nie zważając na resztę bawiącego się towarzystwa.

Zofia była młodą, nie dawno, i nie według własnego wyboru zamężną. Oko jej męża nie iskrzyło w prawdzie zapalem pierwszej młodości; lecz stałość charakteru i głęboka rozważa, piętnując jego powolne kroki, zeskarbiły mu szacunek współobywateli. Nie takiego męża pragnęła Zofia, żywa, rostrzepana. Ona żałowała że poszła za człowieka zimnego, którego zdawał się jej tak nieczułym, nieludzkim... może tylko dla tego, że młody jej umysł za dosyć poznać go nie zdołał. Zofia tyle czytała i marzyła o miłości że szczerze chciała się zakochać, a los przyjazny, jakby na umyślnie nadarzył zabawę, na której jesteśmy.

— Czyż tańce nasze były tak szczęśliwymi uprzyjemnić pani dzisiejszy wieczór? pytał Seweryn wszczynając rozmowę.

— Ktożby się dobrze nie bawił w domu pana M* i w takim towarzystwie, dodała.

— Więc się zgadzamy, rzekł Seweryn, bo mój czas przelatuje tak szybko, że poświęciłbym wszystko, ażeby choć kilka chwil na dłużej usidlić.

— Za tyle grzeczności muszę panu imieniem całego towarzystwa podziękować.

— A ja wdzięczność za tyle szczęścia tylko pani winien jestem, mówił Seweryn tonem człowieka dobrze wyćwiczonego w podobnych sprawach.

Rozmowa ciągnęła się szlakiem, na którym ją zostawiliśmy. Pełne zapалу były oświadczenia Seweryna, a zwyczajtwo bardzo łatwe. Seweryn był pięknym, rozumny i znał kobiety.

Zofio! ktoż poznawszy, niekochałby cię całym sercem? ale ktoż zdołałby cię kochać, uwielbiać tym ogniem, jaki ja teraz czuję w mem łonie; przy tych słowach gorąco cisnął rękę Zofii do ust, a tą mową niemego uczucia rozżarzył jeszcze serce Zofii, co już roztało poprzedniczemi słowy. Pozwól mi, mówił, niech na pamiątkę tego szczęścia, jakiego teraz po raz pierwszy doznaję, zostanie mi... to mówiąc chciał zdjąć obrączkę będącą na palcu Zofii.

— To ślubna, rzekła słabym głosem Zofia, ściskając mimowolnie rękę kochanka.

— Więc mi daj inną, niech posiadam choć jedną rzecz coby mi gwiazdą życia mego była.

— Nie mam nic z sobą.

— Zofio! więc jutro... ty mi nie odmówisz... u was ogród tak piękny... tak

roskosznie chłód wieczora umila altanę... ja cię kocham! Zofio... ty mi nie odmówisz... nie możesz.

—Cudny wieczór! ozwał się ktoś niepostrzeżony za krzesłem; mówiący się obrócił, i oto w oknie stał... mąż Zofii, zatopiony w sobie i w uważaniu... płam xiężyca. Niewiem czy słyszał rozmowę, bo była bardzo cicha.

Seweryn się zmieszał, przygryzł wargę, nazdeptał nogą o nogę;... po twarzy Zofii przeleciał obłok pomieszania, i chwilową powłokł ją bladością; ale mąż jej zapewne nie nie słyszał, bo stał ciągle w oknie dumając, a gdy zagrzmiła muzyka, począł tańczyć i był wesoł. Seweryn i Zofia znaleźli jeszcze sposobność wiele mówienia z sobą, i bardzo prędko przeleciał im wieczór u pana M*.

II.

Nazajutrz Edmund, mąż Zofii, był jak zwykle zimny i ponury. Przy obiedzie kazał przygotować bryczkę, konie do podróży, i upakować rzeczy.

—Dokąd jedziesz tak nagle? pytała żona.

—Jutro dzień imienin Michała, muszę wyjechać wcześniej, aby do jutra ujechać tych dziesięć mil.—

Bryczka zajechała, Edmund wszedł do swego pokoju, nabił pistolety, zchowal pod płaszcz i odjechał.

Którędy? spytał przy rozstajnej drodze woźnica; ale zdaje się że tylko dla formy, bo zwracał konie na lewo.

Na prawo! rozkazał pan.

Na prawo zwrócił więc Janek, mocno zdziwiony; bo mu drogę na lewo zapowiedział Jędrzej, lokaj, co słyszał rozmowę państwa przy obiedzie.

W kilka godzin potem Zofia chodziła sama po ogrodzie co się szeroko za domem rozciągał. Serce jej było gwałtownie, niepokojność, niepewność malowała się w drzącym kroku. Już od wschodniej strony pierwsze cienie wieczoru zajrzały w odświeżającą się ziemię, i tylko co pierwsze gwiazdki nie wyjrzały z za dziennych obłoków.

Zbliżała się umowiona godzina.

Były chwile w których Zofia żałowała przeszłości. Wyrzuty odzywały się w głębi serca, powinność stawała przed oczyma, obawa miotła nią. Mąż odjechał; może to tylko podstęp, może on wie o wszystkim, i tylko straszną zemstę gotuje wiarołomnej.

Ale miłość głuszyła te wszystkie głosy, głuszyła obawę. Gdy Zofia przywołała w pamięć Seweryna, jego piękną postać, czarujący dźwięk głosu, co tak za duszę chwycił, wtedy zniknęło wszystko, i niebyło ani męża, ani powinności, ani wyrzutów, tylko Seweryn i szczęście!

W takich marzeniach zaszła w najdalszą okolicę ogrodu, i stojąc na wzgórzu, daleko zasięgała okiem. Wkoło nieprzejrzanego rozciągały się bory, a z najbliższego lasu wyjechał konny mężczyzna: rumak jego leciał, jakgdyby go myśli pana uskrzydliły.

Za chwilę koń bez jeźdźcy rzał w lipowej ulicy przed ogrodem, a Seweryn siedział przy boku Zofii w altanie.

Zofia siedziała sparta na Seweryna, i niczem było jej wszystko co się za altaną działo, nie nie czuła, nie słyszała, oprócz słów jego. Biedna! Seweryn z radością poglądał na bliskie zwycięstwo. Oto część ich rozmowy:

—Coż mi po tych pamiątkach, Zofio? ty będziesz zawsze w moim sercu i pamięci; ale ty... gdy się rozstaniemy... O Zofio! chwile któreśmy tu razem spędzili, są tak piękne żeby nam całe życie świecić powinny. Zawsze kiedy się tylko spotkamy...

—O my się nie możemy znowu widzieć, rzekła Zofia z westchnieniem, i poznałbyś że to jej wielką boleść sprawiło.

—My się musimy z sobą widzieć, musimy żyć dla siebie, wiecznie! bo wieczna jest miłość, co nasze dusze zajęła. O gdybym ci mógł wyśłowić całą moc mojej miłości, gdybyś mogła wyczytać co czuję... Zofio! dodał prędko, jutro o tej porze czekaj mię tu.

—Jutro mąż mój przyjedzie.

—Nie mów mi o mężu; twoją duszę mojej niebo poślubiło nierozzerwanym związkiem pokrewnego uczucia. Nie tu, więc gdzie indziej, wiesz chatę Stefana, gajowego, pojutrze czekam cię tam...

I znowu lat w duszę Zofii strumienie złotej wymowy, co ją usidliły. Gdyby Seweryn był jej malował miłość taką jak czuł w swem łonie, byłaby Zofia ze wzgardą odepchnęła jego słowa; ale on jej malował miłość tak czystą, niebieską, tak piękną! a tym ludzkiem blaskiem prowadził ją tak daleko, iżby się już wrócić nie mogła, i wyniósł z tej schadzki przyrzeczenie drugiej, i wesołą nadzieję prędkiego ukończenia romansu.

Przeszedł on wiele miłostek i zgasił w sobie uczucia ślachtetniejsze, co jakąś chwilę prawdziwym szczęściem młodemu świecą

wiekowi. Seweryn za całe szczęście świata uważał uścisk kobiety, bo wychowanie nie dało mu poznać wyższego. On igrał z pocałunkiem palącej miłości, z ogniem wzdętego łona kochającej. Zofia podobała mu się, przedsięwziął więc nasycić się jej powabami, a swój cel tylko mając na oku: zepsucie pożycia małżeńskiego, nie skaniać całego życia kobiety, skażenie jej łona niegodną miłością było mu niczem.

Rozstali się; a kiedy Seweryn powrócił do miejsca gdzie konia zostawił, już go tam nie było; może urwawszy się uciekł do domu.

W przeciągu tegoż czasu zkradziono Zofii szkatułkę z najdroższymi jej klejnotami; ale ta strata mało zajęta Zofię; bo ona tylko o nowem zejściu się z kochankiem myślała. W takich marzeniach spędziła dwa dni samotna; bo mąż nie wracał z imieniem.

Godzina schadзки zbliżała się.

III.

Z radością bijącym sercem jechał Seweryn do umówionej chatki gajowego. Noc była widna, bo ją rzęsne gwiazdy oświeciły. Seweryn uwiązał konia w lesie i tylnymi drzwiami wszedł do izby w której było ciemno, bo i okna pozastawiane, tylko w kącie siedział jakiś mężczyzna.

—Stefanie!...

—Jesteś więc, rzekł mężczyzna wstając, który nie był Stefanem; a Seweryn się wzdrygnął i nie mógł pokryć widocznego pomieszania. Wierzę żeś ty do kogo innego przyszedł; ale ja na ciebie czekam, mówił Edmund groźnie.

—Jako? zapytał drżącym głosem Seweryn.

Edmund zapalił świecę.

—Jesteś złodziejem, rzekł Edmund chwytając go za rękę.

—Oszezero! odrzekł wyrwijając się Seweryn.

—Tyś zkradł klejnoty mojej żony. Oto dowody, rzekł pokazując na pierścień który Zofia dała Sewerynowi, i koń co za świadectwo posłuży.

—Zapłacisz mi... żądam satysfakcji; za ledwo zdołał wyjęknąć Seweryn, przerażony że podejrzenie takiej ogromnej zbrodni może paść na niego.

—O i moje klejnoty żądają satysfakcji;

ale ja się o inną postarałem; tu Edmund odsunął zasłonę okna, a Seweryn ujrzał na dworze kilku czekających ludzi. Był on zurodzenia bojaźliwy, a teraz opuściła go cała odwaga, bojaźń zamroczyła mu wszystkie władze umysłu.

—Litości, litości! zawołał drżący padając na kolana.

—A ty znasz litość? znasz ten list? rzekł Edmund pokazując papier, a na widok jego Seweryn zbladł jak śmierć; bo przypomnienie dawnych, zbrodni przytaknęło się do obecnego stanu. Było list Elżbiety, dawnej jego uwiedzionej kochanki.

—Zdradco! mówił groźnie Edmund, uwiodłeś dziewczynę, oszukałeś, i żądasz litości! przybiecałeś wykupić ojca jej z więzienia, a on tam jeszcze jeży?... a ona żęrze z dzieckiem... i ty żądasz litości!?... mówił cisnąc go namiętnie za ramię; gniewem spłoneża mu twarz, i ogień z oczu mu wytryskał. O, ledwie dziesięć lat więzienia zdołał zmżyć tyle hańby, zrówna wartości klejnotów i sławie żony mojej!

Seweryn płakał jak dziecko.

—Chcesz łaski? rzekł Edmund, oto ją masz, podpisz... położył na stole papier, a Seweryn zbliżył się i drżącą ręką podpisał skrypt na obecną sumę Elżbiecie.

Wtem... weszła Zofia.

—Żono! oto masz twoje klejnoty, rzekł do wchodzącej Edmund, i pokazał na leżącą obok zkradzioną szkatułkę.

Edmund okazał się szlachetnym, Zofia umiała czuć wdzięczność. Każdy dzień jej życia jest nowym dowodem przywiązania ku mężowi, związek ich dopiero od tego dziwnego wypadku zabłysnął zupełnem szczęściem domowem, jakiego dotychczas doznają.

Władysław Z.

Wyjątek z listu J. Kraszewskiego do redakcji dziennika mód paryskich.

Miesiąc temu jak wyszedł pierwszy tom *Ateneum*; jakimś przeczcieniem już tam choć z tytułu wspomnianem opąskim dzienniku, krótko, hom go nieznat. Jeśli się to podoba niniejszem upoważniam, pana do przedrukowania jakie mu się zdadzą artykuły moje w swoim dzienniku mód. Jest on sto razy lepszy od podobnych publikacji innych, bo w nim jest staranny dobór artykułów, język czysty i myśli są i życie, gdy w innych nieznośna paplanina zajmuje kartki. Obszerniej o tem napisałem dziś właśnie w artykule przeznaczonym do tygodnika *petersburskiego*, bo pojmuję że taki dziennik stosując się wyłączenie do pewnej klasy ludzi może na nią zbawienne wyrzucić skutki. Nie sameto Balzaka romansu są najlepsze, ani monopolu na poezie niema Wiktor Hugo. Dowody spółeczucia od ludzi myślących sódzą mi życie, nie bardzo zresztą rokoszne, bo co chwila nieprzyjaciół sobie robić muszę mówiąc prawdę w oczy; a na świecie smutno bez przyjaciół!

Gródek dnia 4. lutego 1841.